

669

# TURBINY HISTORII

Warszawski Teatr Powszechny z powodzeniem gra „Dni Turbinów” M. Bułhakowa. Wychodzi się, niestety, z tego przedstawienia z uczuciem rozczarowania i zawodu. Jest w spektaklu kilka dobrych, interesujących ról, jak na przykład sztabkapitan Myszłajewski Gustawa Lutkiewicza, jest kilka pięknie skomponowanych scen, z których najdłużej w pamięci pozostaje wizyjna rozmowa Aleksego Turbina (Mariusz Benoit) z poległym wachmistrzem Żylinem (Krzysztof Majchrzak), jest wreszcie scenografia Jana Banuchy dobrze organizująca przestrzeń sceniczną, a przede wszystkim współtworząca atmosferę ostatnich dni Turbinów. Kto wie czy nie w scenografii właśnie najwięcej mamy Bułhakowa, tego z „Białej gwardii” i tego z „Mistrza i Małgorzaty”.

Niestety, reżyser – Tomasz Zygadło, chyba nie bardzo wiedział, co ma począć z tekstem sztuki będącej sceniczną wersją powieści „Biała gwardia”. Nie bardzo w tym przedstawieniu tłumaczy się jedna z jego najpiękniejszych scen – wspomniana już rozmowa wizyjna. Jest ona próbą nadania rozgrywającym się na scenie wydarzeniom szerszej per-

spektywy spojrzeniu na nie z pewnego dystansu. I właśnie to dystansowanie się nie znajduje oparcia w sztuce.

Dom Turbinów jest arką unoszącą się na wzburzonych falach. Zamknięci w niej ludzie początkowo starają się dopłynąć do jakiegoś brzegu, w końcu zaczynają pojmować, że w walce z żywiołem stoją na pozycji straconej. Ale przecież ten, kto wsiada do łodzi, nie robi tego po to, by z niej wyskakiwać z dala od brzegu. Z chwilą gdy znalazł się na pokładzie, obowiązuje go solidarność z innymi znajdującymi się na statku i wierność okrętowej banderze.

Turbinowie i ich przyjaciele w pewnym momencie zaczynają pojmować, że oto są świadkami umierania dawnej Rosji i narodzin nowej. Są związani z tą pierwszą, dla niej żyli i pracowali i ona żyła dla nich. Bułhakow nie dyskredytuje z góry swych bohaterów za to tylko, że chcą być wierni tej starej Rosji. Traktuje ich nawet ciepło. W jego stosunku do niej zawiera się doza pewnego liryzmu. Ale i ironii. Jest to ironia specjalnego rodzaju. Bułhakow jest przedstawicielem dawnej inteligencji rosyjskiej, którą reprezentują Turbinowie i ich przyjaciele. Jest to ironia gryząca, ostra, ale nie ma w niej nic z groteski. A w przedstawieniu

warszawskim właśnie groteskowe nuty pobrzmiwają. Może najmocniej w interpretacji roli porucznika Szerwińskiego, jaką zaproponował Władysław Kowalski. Ale nie tylko.

Jest to spektakl zbudowany jakby z nie przystających do siebie elementów. Dlatego rozpada się w końcu na pełne uroku fragmenty, z których jednak niewiele wynika. I dlatego bardzo dobry pomysł zakończenia przedstawienia słowami sztabkapitana Myszłajewskiego (Lutkiewicz) wypowiedzianymi przy akompaniamencie kanonady, że nadchodzą czerwoni, brzmi jak frazes, choć ma oznaczać chęć uczciwego szukania dla siebie miejsca w tej nowej, rodzącej się Rosji.

Napisana na początku lat dwudziestych „Biała gwardia” jest kontynuacją głębokiego zainteresowania pisarzy rosyjskich problemami rosyjskiej inteligencji, jej roli i miejsca w społeczeństwie oraz jej odpowiedzialności za jego losy. W tym nurcie mieści się i A. Czechow, i M. Gorki, który o inteligentach końca dziewiętnastego wieku powiedział, że są letnikami we własnym kraju.

Pierwsze lata po rewolucji stawiają przed tą grupą społeczną zasadnicze pytanie: za, czy przeciw. Jednym z pierwszych, który je porusza w literaturze, jest właśnie M. Bułhakow. Jednym z ostatnich – Aleksiej Tołstoj, który w r. 1941 kończył zaczęta w latach dwudziestych „Drogę przez mękę”. Wystawienie w r. 1926 „Dni Turbinów” tak rozkołysało nastroje publiczności, a jeszcze bardziej krytyki, że aż sam Stalin uznał za konieczne wypowiedzenie się w tej dyskusji, akceptując utwór Bułhakowa. Dla Rosji radzieckiej owo inteligentkie pytanie za czy przeciw było jednym z kardynalnych problemów nie tylko lat dwudziestych.

M. ZINOWIEC